Ner 1. Kraków, 8go Stycznia. 1862.

ROK II.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 6 zł. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 10 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 7 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 zł. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „
„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. i Królestwa Polskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 zł. w a.
Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 4 cent., następnie po 2 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stempel rządowy.
Listy i przesyłki pieniężne należy frankować i adresować do Redakcyi Niewiasty w Krakowie.
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

POEZYA.

Jak w łonie twardej ziemi (po której człowiek ślepo stąpa, nie domyślając się jakie podeptał skarby), aż do tej chwili snem zarozumiałego milczenia, spi bogaty strumień złota, dopóki go natchnieniem skierowana nie dosięgnie ręka, i młot doświadczenia nie rozkuje z głębi.... tak w duszy człowieka, w duszy narodu jest ukryty bogatszy i stokroć uroczystszy strumień złocistej piękności niebiańskiego uroku, tytańskiej siły — nadziemskiej i nieporównanej rozkoszy. Złoto ukryte w ziemi, to poezya w głębi duszy człowieka skrycie nurtująca. A że ten klejnot ducha dano człowiekowi na to, aby nie sobie, lecz drugim przezeń drogę do szczęścia wskazywał, więc jest on własnością narodu, klejnotem ogółu. Poezya, to gwiazda przyświecająca na drodze żywota wszystkim ludom.

Nie masz narodu bez poezyi. Ta skryta, chociażby przez sto wieków w łonie ludzi, kolejno po sobie zstępujących do grobu, po stu wiekowej martwocie, po stu wiekowem milczeniu wydostać się musi na jaw, i długi brak przymiotów swych, bez których nie masz w narodzie nieśmiertelności, nagrodzić musi pięknem wznioślejszem, polotem wyższym i o wiek trwalszą wspaniałością.

Póki człowiek-dziecko modlić się nie umie, póty przeznaczenie jego, na karcie odwiecznej woli spisane, martwą jest tylko literą. Modlitwa zbliża go dopiero do tej tajemniczej, a miłosierdziem koniecznem Stwórcy łatwo dającej się wytłómaczyć księgi, i stawia go w szeregu tej ciągłej i nieskończonej walki, w której uczucie, rozum i sumienie są bronią, a najwznioślejszym surmy głosem do boju: Bóg i Ojczyzna.

Nie umiejące się modlić dziecko, to naród, z którego wnętrza przeznaczenie nie pozwoliło wydobyć iskry poezyi.

Najwznioślejszą poezyą narodu, to modlitwa natchniona walką jego wewnętrznych żywiołów, modlitwa dowodząca, że naród poczuł się na swoich siłach, że dojrzał w dalekiej przyszłości swej ową gwiazdkę swego przeznaczenia, do której dążąc potrzebuje sił, jakich z ziemi wydobyć nie można, więc z nieba mających mu być zesłanemi.

Modlitwa narodu, to hymn uczuć jego najświętszych, to poezya zakreślająca mu cel życia jego, zakreślająca mu posłannictwo — przyszłość.

Modlitwa narodu to poezya. Nie masz narodu bez poezyi... bo czemże jest naród bez posłannictwa, bez przyszłości.

Poczuciem więc przeznaczenia, dziękczynieniem Stwórcy za miłość Jego, i prośbą o Opatrzność, jest modlitwa, jest poezya.

Tak w człowieku. Tak w narodzie. Tak w stworzeniu całem. Modlitwa śliczności świata, cudów przyrody, w niemem zaklęciu zdumiewających tysiące ludów, dotąd, dopóki jej kto słowem nie przeczyta głośno — ta modlitwa przyrody, milczącej pięknem swego oblicza, a przecież zaklętym powabem tak wymownej, tak uroczej, to poezya przyrody, pierwszego dzieła Stwórcy.

Tknij się tego światów cudu laską czarodziejską twej duszy, w której juz twój klejnot poezyi życia zabłysnął, a ujrzysz, że ci zabraknie słów, zabraknie potęgi do współubiegania się z nowo odkrytą.... oślniewającą cię gromem piękności poezyą przyrody.

Piękność przyrody, to jej modlitwa do Stwórcy, to wzór dla nas, zginający nam kolana do modlitwy.

Nie masz człowieka, nie masz narodu, nie masz niczego oprócz nikczemności — gdzie nie ma modlitwy, więc i poezyi.

Świadczą prawdzie słów naszych dzieje narodów.

Nie wyłączam nawet dziejów wynikłych z tego źródła bogactw prawdy ni pogan, ni najodleglejszych w mroku domysłów i fantazyi ukazujących się nam przedpotopowców. ⊙

DOMNA ROZANDA,

Opowiadanie historyczne;

przez

KAROLA SZAJNOCHĘ.

I. Sierota.

Domna Rozanda była najnieszczęśliwszą ze wszystkich sierot, bo nie miała ojczyzny. Mimo rodziców, mimo potęgę światową, mimo sławę niezmiernych skarbów — brak ojczyzny pozbawił ją tego wszystkiego, wtrącił ją w morze niewysłowionej niedoli, uczynił najdziwniejszych losów igraszką. Kilkunastoletnia dziewczyna staje się przedmiotem morderczych walk o jej rękę — niewinna, wywołuje w tych walkach jedną z najkrwawszych klęsk narodowych, jakie znane są w dziejach – można królewna spada do poziomu poniewolnej małżonki najrubaśniejszego z prostaków.

Ale nie dla tej osobliwości losów obchodzi nas historya Domny Rozandy. Godzi się nam bliższa o niej wiadomość, bo owe zapasy o jej rękę toczyły się w zna-

cznej części na ziemi polskiej, bo przelana w nich krew z najszlachetniejszych polskich lała się piersi, ową zaś klęską morderczą nasz własny zatrząsł się naród. Ztąd też nie obcą nam oddawna sprawczyni tak ciężkich acz poniewolnie sprawionych nieszczęść, i tylko za jedną z wielu innych osobliwości jej życia przyjąć wypada, iż smutna o niej pamięć pod niewłaściwem imieniem przechowała się czasom dzisiejszym.

Dawne kroniki polskie i nowsze opisy historyczne nazywają bohaterkę naszą zwyczajnie *Domna*. Odzywa się w tem atoli jedynie przekręcona nazwa jej dostojności książęcej, właściwem brzemieniem *Domna*, w języku wołoskim tyle co *księżna*. Łączony powszechnie z rzeczywistem imieniem chrzestnem Rozanda, ustalił się spolszczony odgłos wołoskiego słowa przeważnie na ustach polskich, i zatarł całkowicie istotne miano Domny Rozandy.

Jestto więc nieszczęśliwa synowa naszego Bohdana Chmielnickiego, młodsza córka wołoskiego hospodara Bazylego Lupuła, już samem urodzeniem na hospodarskim tronie Wołoszy*) pozbawiona ojczyzny. Od kiedy bowiem jarzmo tureckie coraz srószą przemocą gnębić poczęło ziemię wołoską, nie zdołała żadna rodzina hospodarska ustalić się na czas dłuższy w jej posiadaniu, lecz zwyczajnie w drugiem już pokoleniu traciła berło, szła wyrokiem sułtańskim pod miecz katowski, w niewolę lub na tułactwo. Ponieważ zaś każdy nowy władzca Wołoszy spodziewał się utrwalić w niej długą świetność i przyszłość swemu rodowi, przeto zrywał on pospolicie wszelkie związki z dawnym krajem rodzinnym, a wyzuty następnie z godności hospodarskiej, znachodził się z całą rodziną bez dawnej i bez nowej ojczyzny błędnym po sąsiednich krajach tułaczem.

Takim sposobem nieszczęsne pogranicze z barbarzyństwem islamu, jak całą resztę narodów w tej wschodniej stronie, tak i bogatą ziemię wołoską utrzymywało w stanie nieprzerwanej zamieszki, nieprzerwanych zaburzeń. Niczego nie oszczędzając, dawały się te wstrząśnienia zarówno ciężko uczuć krajowi, jak wszystkim następującym po sobie rodzinom książąt krajowych, nawet każdemu z najniewinniejszych członków rodziny. Podczas gdy szczęśliwsze ludy zachodnie, tylko z wieści tę plagę barbarzyństwa wschodniego znając, z wszelką swobodą pracować mogły nad uporządkowaniem swoich spraw i nieładów domowych, spokojnie i bezpiecznie postępowały w oświacie, tu na kresach wszelkiej oświaty, pod zasutem ciągłą chmurą pogańską niebem, jak w naturze pod ciężarem wiszącej na niebie burzy, nic do spokojnego rozwoju dójść nie zdołało, ani ziemia, ani rodzina, ani którakolwiek z jej sierot spokojnego dojrzenia przeznaczonych sobie owoców życia doczekać się nie mogła, wszystko rozszarpanem burzą kwieciem marniało.

O panowanie nad pięknym krajem wołoskim toczyła się od XVI wieku nieustająca walka rozlicznych przeciwników. Przed wszystkimi miała tu niegdyś pierwszeństwo Korona polska, starodawna zwierzchniczka hospodarów wołoskich, tyle razy w Śniatynie i Kołomyi przyklękujących z oddaniem hołdu Jagiellończykom. Obok Korony polskiej dobijali się o Wołoszę synowie owej dziwnej rzeszy społecznej, która nawpół z Polaków i Rusi, nawpół z tłumów najrozmaitszej narodowości złożona, zarazem posłuszna i wroga Koronie polskiej, z kolei to walcząca, to sprzymierzona z pogaństwem wschodniem, była właściwie tylko smutnym płodem panującej w tych stronach zamieszki najrozmaitszych żywiołów narodowych, potwornej mieszaniny ostatków oświaty chrześciańskiej z poczynającem się tu barbarzyństwem azyjskiem, a nazywała się Kozaczyzną — najsroższej jednak gniotło od niejakiego czasu jarzmo tureckie.

Z ramienia tak sprzecznych potęg, niekiedy jeszcze za wsparciem Ordy albo uległego Osmanom Siedmiogrodu, osiadał na hospodarstwie co chwila jakiś nowy Grek, Polak, Kozak, rzadko krajowiec. Z Polski wiodła pretendenta najczęściej protekcya możnych panów, z Siczy kozackiej szabla, ze Stambułu złoto przekupstwa. Lubo nie zrodzony do tronu, pragnął każdy pozostawić go dzieciom, zakładał na Wołoszczyźnie wspaniały dom rodzinie, wysokiemi zamysłami i nadziejami wystrzelający w niebiosa. Ale nim zamysły w skutek dojrzały, zrywał się jeden z nowych wichrów ustawicznej w tych stronach waśni żywiołów, i przeciw hospodarowi z ramienia Polski wznosił renegata z woli dywanu, w miejsce rycerskiego druha Kozaków stawiał zbogaconego lichwą kupca z Epiru, nad osobistym ulubieńcem sułtańskim dawał czasem górę upojonemu astrologicznemi wróżbami dworzaninowi królów hiszpańskich. Strącony rywal wracał do dawnego nicestwa, a niedokonaną budowę wielkich planów rodzinnych zastąpić musiał niekiedy skromny dworek wygnańczego przytułku w Polsce.

Było to jeszcze zakończeniem najpomyślniejszem. Polska w ogólności służyła hospodarom za najświatlejszą podporę w zamysłach podźwignięcia Wołoszy do stanu państw rządniejszych, za najpożądańszą przystań w niebezpieczeństwach. Wszyscy też hospodarowie szukali związków z Koroną, wchodzili radzi w koligacya z magnatami polskimi, starali się o prawo obywatelstwa i dobra w Polsce. Zwłaszcza od wyniesionych do godności hospodarskiej krajowców, w każdym razie najzacniejszych pretendentów do rządów w własnym kraju, jak np. od zacnego hospodara Jeremiasza Mohiły, za czasów Zygmunta Wazy, doznawała Polska stałej przyjaźni i uległości. Wymieniony tu Jeremiasz zamierzał nawet zupełną jedność Wołoszy z Polską, i w zawartem r. 1595 przymierzu z Koroną prosi, aby pod względem nabywania włości dziedzicznych i zawierania związków małżeńskich w Polsce, wszelka wolność dana była Wołochom. „Odtąd bowiem oba te ludy mają zostać sobie bratniemi“, nie różniąc się w niczem od synów jednej matki,

Znośniej więc niż gdzieindziej bolało wygnanie na ziemi polskiej. Gdy jednak i w Polsce nierzadko kara zamiast przytułku czekała, w Turcyi zaś powszechnie stryczek katowski groził, nie było w żadną stronę pewnego wyjścia w dzień trwogi. Wypadło natenczas rozbitkom hospodarskim przyjąć nieodzowną konieczność, i gdzieś w dalekich stronach południa lub północy na świat przyszedłszy, kończyć swoją świetność wołoską bezimienym grobem na cmentarzu wyrzuconych z okien Jedykuły więźniów tureckich, albo na dnie którego z mórz południowych, wyzionąwszy ducha u wioseł galery niewolniczej.

W niezmiennem prawie następstwie tak uderzających katastrof, cóż za tragiczne widowisko przedstawiają nam dzieje hospodarów wołoskich w ostatnich stu leciech przed wypadkami powieści naszej! Zacząwszy od hospodara Jakóba Heraklida Despoty w r. 1563, aż do ojca Domny Rozandy, występuje na scenie szereg najosobliwszych awanturników, niewiedzieć bardzo często, szalbierzów-li nazwy godniejszych czy bohaterów? Oto zaraz ów Jakób Heraklid, syn majtka greckiego z wyspy Samos czy Krety, następnie z pisarza w bi-

*) Przyległą Bukowinie Mołdawię czyli Mułtany dzisiejsze nazywano u nas powszechnie Wołoszczyzną, Wołoszą; dzisiejsza zaś Wołoszczyzna ku Dunajowi miała przeciwnie nazwę Mułtan, Mołdawii. W opowiadaniu niniejszem zachowano nazwy dawniejsze.

bliotece watykańskiej pokojowiec cesarza Karola Vgo z Eskuryalu, ztamtąd wędrowca po Szwecyi i Inflantach, z Inflant gość dworów polskich, a za pomocą Polaków przybysz do Wołoch, w Wołoszech hospodar, owszem król czyli despot wołoski, najpierwej prawodawca potem ciemięzca swojego ludu, i z tej przyczyny od kilku naraz rywalów z tronu zepchnięty, wolności i życia przez Turków pozbawiony — czyż nie dość sprzecznemi rysami zapisał imię swoje w historyi!

W dziesięć lat po Despocie osiadł na Wołoszczyznie jeszcze godniejszy podziwienia hospodar, według powszechnej wieści szlachcić z Mazowsza, u Wołochów Iwonią zwany. Zapewne w niewoli poturczony, dorobił się on handlem niezmiernych skarbów, a dzięki skarbom został ulubieńcem sułtańskim, baszą, hospodarem wołoskim. Gdy mu jednak na rozkaz sułtana większy haracz płacić kazano, ocknęła się w nim dawna duma szlachecka, ogłosił się napowrót chrześcianinem, powołał naród do obrony niepodległości. Za pomocą Kozaków powiodło mu się odnieść kilka zwycięztw nad sprzymierzoną armią turecką i mołdawską, ale w dalszym ciągu wojny chybiło szczęście. Zdradzony, pojmany, zginął z podniesionem czołem śmiercią bohatera chrześciańskiego.

Już w pięć lat po nim owładnął hospodarstwo wołoskie jeden z mołojców Siczy dnieprowej, Kozak Iwan Podkowa, mieniący się krewnym Iwonii. I bliski mu w istocie nietylko pochodzeniem polskiem ale i duchem, pragnął on, w myśl wojennych planów króla polskiego Stefana, wznowić walkę o wyjarzmienie Wołoszczyzny od Turków. Wszakże król Stefan nielubił spólników niepowołanych, a chcąc dla rozpoczętej właśnie wojny moskiewskiej zachować tymczasowo pokój z sułtanem, sprzeciwił się porywczości nowego hospodara. Schwytany od Polaków, dał Iwan głowę pod miecz kata na rynku lwowskim. „Nadstawiałem ją w bojach z pogaństwem, dziś składam ją w ofierze chrześcianom!“ — wołał na rusztowaniu — najsmutniejsza ze wszystkich ofiar nieszczęsnego rozerwania tych stron między półksiężycem a krzyżem, bo nareście od półksiężyca i krzyża opuszczona.

W kilkanaście lat później osadzili Polacy orężem Zamojskiego hospodara krajowca, zacnego Jeremiasza Mohiłę. Ten niezwyczajnie łaskawem zrządzeniem niebios umarł na tronie, łudząc się nadzieją długiego na nim blasku rodziny swojej. Ale rzadką fortunę ojca jakże przeciwnemi losami musiało przypłacić licznie rozrodzone potomstwo! Z kilku synów jeden znalazł przytułek pod strzechą polskiego dworku w Ujściu podolskiem, drugi zginął w niewoli mahometańskiej, trzeci zaparł się wiary przodków, i umarł w islamie pokojowcem sułtańskim. Czterem córkom otworzyło się schronienie w związkach małżeńskich na ziemi polskiej, z pierwszymi panami koronnymi. Dla zachowania mitry książęcej synom, dla wywalczenia posagu córkom, upłynęło niezmiernie wiele krwi wołoskiej i polskiej, poświęciły dwie córki swoich małżonków, wszystkie cztery mnogi poczet krewnych i swatów polskich. Nareście owocem wszelkich wysileń, jedyną spuścizną świetnych nadziei ojcowskich, pozostała drużyna rozprószonych po świecie sierot.

Tuż po Mohiłach posiadł berło wołoskie Kroata Kaspar Gracyan, pierwotnie służalec arcyksiążąt rakuskich w Styryi, następnie dworzanin królewski w Neapolu, gdzie dla zwrócenia na siebie uwagi dywanu carogrodzkiego jął wykupywać z niewoli chrześciańskiej jeńców tureckich. Zalecony tem sułtanowi, otrzymał hospodarstwo wołoskie, aby fałszywemi obietnicami skusić Polaków do wyprawy cecorskiej. Urosła w niej najwspanialsza z tych mogił, od których Wołoszczyznę zdawien-dawna mogilnikiem Polaków zwano, a w najpokątniejszym z tych grobów legł sam zwodziciel Gracyan, zbiegły w ucieczce z szeregów polskich.

Pod też właśnie porę cecorską grasowała w lasach Pokucia i Bukowiny banda opryszków, na której czele stał niejaki Barnowski, rodem Polak, wychowaniem Wołoszyn, obecnie głośny na pograniczu ruskiem „herszt rozbójników.“ Dobijaniem uchodzących z obozu cecorskiego rozbitków polskich zasłużony następcy Gracyanowemu, przyjął on służbę u niego, z której wkrótce samemu Barnowskiemu otworzyła się droga do hospodarstwa. Jako Miron I na książęcym tronie zasiadłszy, pospieszył on po zatwierdzenie sułtańskie do Carogrodu, gdzie jednak losy komu innemu okazały się przychylniejszemi. Ten wymógł na dywanie rozkaz zięcia Mirona, a opróżnioną stolicę hospodarską zajął w następnym roku 1634 wcale nowy, trzeci pretendent — ojciec naszej Domny Rozandy, Bazyli Lupuł w polskich aktach urzędowych Wład. IV.

Byłto najodpowiedniejszy charakterowi dziejów miejscowych współzawodnik o Wołoszczyznę, gdyż jak zapewne w niedalekiej przyszłości bez tronu znowuż i bez znalezionej teraz pod wołoskiem niebem ojczyzny, tak już w przeszłych życia swego kolejach nieznany bliżej z pochodzenia i stron rodzinnych, bez dokładnie wiadomej ojczyzny dawnej. Zwyczajnie podania mienią go rodem z Epiru, zbogaconym w przedsiębiorstwach kupieckich Grekiem. Polacy nie nazywali go wyraźnie potomkiem hospodarskiego domu Mohiłów, ale ponieważ obie córki Lupuła uchodziły w Polsce powszechnie za Mohiłanki, przeto musiała i w ojcu, przynajmniej po kądzieli, płynąć krew tego rodu. W każdym razie znał Lupuł Wołoszczyznę od lat dawniejszych, urzędował nawet u dworu hospodarów poprzednich, i zarówno spraw serajowych jak i biegu rzeczy w Wołoszech świadom, objął pełen dobrej wróżby władzę książęcą.

Dopiero za wnijściem w progi pałacu książęcego przyszło zwyczajnie nowemu hospodarowi otoczyć się gronem rodzinnem, założyć sobie gniazdo wypoczynku po długoletniem tułactwie śród obcych ludzi. Jowialność polska żartowała sobie wprawdzie z tych gniazd wołoskich, niestałych i zmiennych jak legowisko przepiórek, zkąd też urosło w Polsce przysłowie: „Hospodarstwo wołoskie jak przepiórcze pole.“ Ale natura ludzka podoba sobie wielce w grach hazardownych, i lubo w owym zakątku alpejskim lawina rok po roku zasypywa chatkę góralską z mieszkańcami, znajdzie się zawsze osadnik do odbudowania chatki w tem samem miejscu. Lubo też ledwie nie każda rodzina hospodarska ginęła ofiarą barbarzyńskiej stron tych zamieszki, spieszył każdy nowy hospodar uścielić sobie nowe gniazdo na bezdenią, założyć nową rodzinę przyszłych wygnańców.

Przezorny Bazyli Lupuł powodował się w tej sprawie raczej głosem rozsądku niż uczucia. Ożenił się nie z chrześcianką, nie z Polką, jak wielu przed nim, lecz z mahometanką Czerkieską, która zapewne dopiero po małżeństwie przyjęła chrzest. Naraziło go to wprawdzie na wielką niechęć u chrześciańskiej Wołoszy, ale przyniosło mu tem łaskawsze względy sułtana, z mnogiemi arcyprzydatnemi stosunkami w kole carogrodzkich przyjaciół żony. Do uśmierzenia pobożnej niechęci poddanych wystarczyły hojne jałmużny kościołom greckim w Wołoszech i w stolicy cesarskiej, a gdy hospodar za wielką sumę złota wyjednał u dywanu wolność sprowadzenia z Carogrodu zwłok św. Parascewy do Jas, i założył dla nich okazały monaster, dozwolono Lupułowi daleko większej samowładności w sprawach kościelnych, niż któremukolwiek z poprzednich hospoda-

rów. Uzyskane zaś za pomocą mahometańskiej żony związki stambulskie dopomogły mu do utrzymania przez długie lata najlepszych porozumień z dywanem, któremi i tę jeszcze wyższość nad resztą poprzedników swoich osiągnął, iż nierównie dłużej od nich piastował rządy.

W tym dłuższym przeciągu czasu dochowali się m łżonkowie hospodarscy dwóch córek, z których młodsza otrzymała starowołoskie imie Rozanda. Urodzona z matki Czerkieski, ojca Greka, pod przyswojonem w Polsce nazwiskiem Mohilanki, do posłuszeństwa zwierzchnictwu Porty, roszczącej sobie samowładną opiekę nad córkami hospodarskiemi, w którymże z tych krajów i narodów miała córka Lupułowa widzieć swoją ojczyznę? Urodzenie na tronie hospodarskim narażało samo przez się na upadek i tułactwo w przyszłości, czyniło tem potrzebniejszym kiedyś ten przylądek bezpieczny, ten port schronienia, jakim w każdem rozbiciu losów bywa dla nas ziemia ojczysta, bywa uczucie posiadania ojczyzny, a bez tego ostatniego przytułku i ratunku nie godziłaż się Rozandzie sprawiedliwa nazwa sieroty?

Sierotą zaiste jak i ziemia jej urodzenia, jak każde z tych wschodnioeuropejskich pograniczów dziczy pogańskiej, była nieszczęśliwa hospodarówna. Nie mając jednej, pewnej ojczyzny, miała ona w tych rozmaitemi węzłami pociągających ją krajach i ludach tylko tyleż sprzecznych rywalów, którzy ją wzajemnie wydrzeć sobie pragnęli. W tej mierze jak o samą ziemię wołoską walczyły ostatniemi czasy nieustannie Porta ottomańska, Korona i Kozaczyzna z Tatarstwem, tak i nasza Domna wołoska ujrzała się przedmiotem walki współzawodników i wpływów tureckich, polskich, kozackich. Jakoż z tegoto punktu widzenia okazuje się najciekawszą historya Mohilanki Rozandy. Losy kilkunastoletniej dziewczyny zamieniają się w obraz tragicznych losów kraju całego, kilkunastoletnia sierota staje się na chwilę celem i palmą tych pogranicznych zapasów, jakie od niepamięci staczają w tych stronach żywioły oświaty z żywiołami barbarzyńskiemi, a najobfitsza i najmilsza samej sierocie krew, która upłynęła w ofierze tym zapasom, to krew nasza, krew polska.

Że zaś dobijając się o Wołoszczyznę, dobijano się jej teraz koniecznie w osobie Domny Rozandy, z nieodzownym przydatkiem jej ręki młodocianej, główną temu przyczyną były nagromadzone dla niej dostatki posagowe, szeroka u postronnych ludów sława bogactw jej ojca hospodara — owszem całej Wołoszczyzny owczesnej. O tych więc bogactwach pomówić tu najpierwej

(C. d. n.)

W JASSYRZE.

(Poemat historyczny),

JANA KANTEGO TURSKIEGO.

ZYGMUNTOWI JAROSZEWSKIEMU
w dowód przyjaźni
poświęca autor.

I.

Krwawi się słońce, jak serce w rozpaczy,
I tam podziemnym idzie świecić ludom;
Tam może życie i szczęście zobaczy,
Tu się daremnym przypatrywać trudom
Z żalu nie może, bo tu śmierć po śmierci
Cecorskie pola w cmentarny świat zmienia,
Tutaj wróg-robak szeregów grób wierci,
I stłumi polskich serc święte westchnienia.
Tutaj się słońce krwawe przestraszyło,
Bo od krwi polskiej niebo się czerwieni —
Cecorskie pola tu jedną mogiłą..
Wszyscy w niej martwi, lub wiecznie straceni.
Wróg mści się krzywdy dawnej, i zwycięztwa...
Zarazą śmierci owija szeregi;
Zabrakło siły i wiary i męztwa,
Skorsze od męztwa pogańskie wybiegi.
Hetman zabity jeden — pierzchnął drugi [1]),
Garstka zyjących na pastwę wydana,
Wierne księżyca najemnych hord sługi
Dumą zwycięztwa szukają hetmana.

Jęk konających miesza się z okrzykiem
Radości wroga, pijanego szałem,
Który w weselu zwierzęcem i dzikiem
Ściga... rozpierzchłych po polu strupiałem;
Ściga i wściekłą dopadając dłonią,
Śmiercią nagradza tych, którzy się bronią.
Zwalczonych w ciężkie okowy przyprzęga,
By pognać w jassyr przed tron padyszacha,
Którego wielka nad światem potęga
Rzekła poddanym: „Lach pies — zabić Lacha!"
I chciwie takich chwyta, co zdradzili
Większą moc złota, droższe pochodzenie,
W jassyrze będą za męki płacili,
Albo na wieczne pójdą pohańbienie.

II.

Z pobojowiska dzika wrogów zgraja
W bliskiem się lesie na zbiegłych zaczaja.
I w gęstwiach pełno krwiożerców się snuje,
A każdy z dala giaura krew poczuje.
Hetmana pragną, lichym wrogiem gardzą,
Ale hetmański kord im miły bardzo!
Chcą go na wieczną zachować pamiątkę:
I kord, i złoto, i najmniejszą szczątkę.
Gonią go, biedny kędyż się ukryje?
Kiedy las cały otuliły żmije,
I swym serdecznym tuląc go uściskiem,
Jego schronienie skończą pośmiewiskiem.
Biedny on tułacz — wyczytać mu z twarzy
Jaka tam w sercu moc uczuć się żarzy.
Z oczu wyczytać jaka walka w duszy!
Biegnie, gałęzie gęstwin silnie kruszy,
A coraz dalej wiedzie ślepa droga.
A myśl srożeje boleścią i kaźnią
I rośnie... dziką strojna wyobraźnią.
Wreszcie — tak krążąc w nieznajomym lesie —
Stanął... podsłuchał: nic ziemia nie niesie.
Stanął, bo dziwne myśli w duszę zbiegły:
Szepcząc mu baczność: gdyby go w pogoni

Hord najemniczych służalce dostrzegły,
To by z hetmańskiej poznały go broni;
Poznawszy, w sroższe ujęły katusze...
Więc stanął... myśli udręczały duszę,
Słowa się same z serca dobywały,
I dzikim jękiem w głuchym siele grzmiały.
„Boże! tak chciałeś — i nasza przegrana!
„Mnie tu już dłużej nie stać, nie rozpaczać —
„Po moich szatach poznają hetmana,
„Po kordzie; — boju nie przyjdzie mi staczać,
„I z braci moich nikogo nie zbawię,
„Ani ojczystej nie pomogę sprawie;
„Więc precz odemnie mej godności godła!
„Jam tułacz — dzisiaj to godnością moją.
„Precz i ty mieczu! niepotrzebna zbrojo,
„Precz! gdy nie będziesz pogańskich serc bodła —
„Tu was w tym dzikim schowam dzisiaj lesie,
„Może was pielgrzym ujrzy i podniesie.“
Tak mówił dzielny, ale zwyciężony
Hetman koronny polny Koniecpolski,
Młody, waleczny i wierny syn Polski,
Przed hordą wrogów w dziki las wpędzony.
Gdy bitwy szczęście przeważyło szale,
Pierzchły szeregi bez ładu i szyku,
Hetman, co przodem boju szedł w zapale,
Ujrzał zwycięzcę w podłym najezdniku.
I życie chroniąc, by je nieść z ochotą
Na pomstę krzywdy świeżo mu zadanej.
Tak mówił... w myślach trwożny i zmięszany,
Zrzucając z siebie i szaty i złoto...
I zrzucił wszystko! Ha! jeszcze ma jedno:
Ten pierścień złoty, to pamiątka po niej —
Ach! czyliż kiedy ujrzy swoją biedną!?
Czy go los w strasznej ocali pogoni!
Jakiż blask święty jaśniał na jej skroni
Wtedy, gdy pierścień ten jemu obwieścił
Największe szczęście. Jakżeż się nim pieścił?!
Jak potem w życia swego całą drogę
On mu przyświecał do czynów i męztwa!
Rzekł więc: o! tanio spokój sprzedać mogę!
Rzekł, i odrzucił talizman zwycięztwa.
Cisnął ostatnią swych klejnotów szczątkę,
Najdroższą rzucił po żonie pamiątkę.

— Młodą i śliczną pojął hetman żonę,
Kiedy wyprawę ogłoszono nową.
O! jakżeż serce jego zakrwawione!
Tam może biedna młodą będzie wdową...
Tam może ona z żalu i tęsknoty
Łzy gorzkie po nim w modlitwach wylewa,
Biedna! jej pierścień wpadł pomiędzy drzewa...
Ach! czemuż pierścień tak święty — był złoty?!...

Więc już nic nie ma, po czemby poznali
Chciwi łupiezcy godność i majątek?
Ostatni pierścień: pamiątka pamiątek...
Lecz cóż na piersi jego się tak pali,
Jak gwiazdka w niebios pływająca fali?
I taką jasność w koło siebie toczy,
Że patrzącemu na piersi hetmana
Swoją świetnością najprzód olśni oczy?
Cóż to za gwiazdka? czy z niebios mu dana?
Stój! stój hetmanie! twych żarłocznych gości
Znęci ta gwiazda, ta jasność jasności.
Zrzuć i to z siebie młody bohatyrze,
Jeżeli nie chcesz umierać w jassyrze.
„Boże! zawołał hetman, twój krzyż święty!
„Złoto w kosztowne strojne dyamenty.
„Mamże go zrzucić?:... matka moja droga,
„Gdym dzieckiem tobie poprzysięgał wiarę,
„Na szyję wdziała ten znak śmierci Boga,
„Na którym za świat spełnił swą ofiarę.
„I mam to zrzucić słaby dla bojaźni?
„Mamże się wyrzec Chrystusa i krzyża,
„Że jego jasność oczy im rozdrażni?!
„Nie! — nigdy, myśl ta wierze mej ubliża,
„Ja dla jassyru nie zrzeknę się krzyża!“
I tuląc święty znak ku łonu swemu,
Już nie odrzucał go wcale od siebie;
Tylko ufając Bogu, patrzył k' Niemu,
I czekał... co mu przeznaczono w niebie?
Czekał spokojnie, i ujrzał za chwilę
Hordę wołoskich łupiezców w pogoni:
Jeden nie oprze się przemożnej sile...
Więc czekał, modląc się z wiarą, a oni,
Gdy się w około niego zgromadzili,
Dyamentowy krzyż najprzód zoczyli. *(C. d. n.)*.

Dwie Siostry,

(Obrazek z pod Tatrów).

I.

Długo już powieści więziły was w salonach, nadobne czytelniczki, — pozwólcie, że zmienię scenę: zamiast salonów, szlacheckich dworków i izdebek miasta otworzę wam wieśniaczą chatę tatrzańską, a bohaterkami będą dwie górskie dziewczyny. I tam znajdziecie serca, jeno silniej bijące, bo nieściskane sznurówką i modą, i tam znajdziecie miłość, graną na rozmaite tony — jeno może inaczej pojętą niż u nas. Posłuchajcie!

Na niebie już dniało: blade gwiazdy wsiąkały w błękit, tatrzańskie szczyty zarumieniły się przed wschodzącem słońcem; ale w dolinie był zmrok jeszcze, jeszcze rosa dyszała na szerokich polach i ludzie spali. — Nad szumiącym Dunajcem za wsią stała chata, na wpół zapadła w ziemię i bogato zielskiem od góry porosła. Pierwsze brzaski dnia spadały w głąb izby przez małe, potłuczone okienka i oświecały żółtą twarz niemłodej już kobiety, leżącej nieruchomo na słomie. Obok niej dwie dziewczyny klęczały: jedna płakała tym płaczem cichym, głębokim, niepocieszonym, co da-

je tak mało łez a tak wiele boleści, druga łamała ręce i głośnym lamentem kłóciła spokój leżącej kobiety. Niezbudzą jej te płacze, bo spała snem ostatnim. Dziś nad ranem umarła ona, a była matką tych dwóch dziewcząt. — Krótka historyjka, a przecież taka bez końca, tak bolesna dla serc, które dotknie; tak pełna treści, że zda się piersi rozsadzi żalem, rozpaczą; ale piórem tknąć się takiej sceny boję — więc upuszczając ją, idę dalej do opisu.

Ze wschodem słońca rozwidniło się w izdebce, i polewane misy, święte obrazy, płaczące dziewczyny i żółty trup matki jaśniej pokazały się oczom. Dziwnie rozmaite były twarze dziewcząt i odmienny ich żal i boleść. Ta, co tak cicho a rzewnie płakała, miała czarne, lśniące włosy i oczy czarne głębokie, przepaściste, świecące teraz gorączkowym ogniem, co jej łzy wypił i oczy palił. Druga rumiana, rosła, o jasnych oczach. Bogate sploty jasnych włosów rozsypały się teraz w nieładzie po białej koszulce i załamane ręce trzymała nad głową zanosząc się od płaczu i wyjąc prawie z rozpaczy.

— Uspokój się Hanko — rzekła pocieszając ją młodsza siostra, — wyjdź na wieś po kumy i księdza, to cię rozerwie trochę; ja tu zostanę przy matce.

— O matko! matuchno moja! wołała Hanka całując zimne nogi matki — jakże nam tu sierotom będzie żyć bez ciebie!

— Idź, idź, Hanko! — mówiła smutnie i ponuro Tereska.

Ale próżne były rady, bo Hanki ani oderwać od ciała matki. Po chwili jednak wstała spokojniejsza, boleść jej zbyt była silną, by się nieprzesiliła. Otarła z oczu ostatki łez i wyleciała z chaty. Ranny wiatr ochłodził ją i orzeźwił, im bliżej była wioski, tem twarz jej bardziej się spokoiła a przed wsią samą koło mostka zatrzymała się nad wodą, by związać włosy i obmyć twarz. Smutne, dotkliwe to prędkie pocieszenie się Hanki, ale u dusz tak żywych, ruchliwych, jak jej, bardzo naturalne.

Tymczasem smagława Tereska po odejściu siostry przechyliła się osłabiona na trupa matki i bezwładnie leżała długo, długo całując ją i ciemnemi oczami patrząc okropnie na pomarszczoną twarz umarłej.

Niedługo nadeszła ze wsi gromada ludzi — kumy obmyły trupa, w trumnę włożyły, i zapaliły w głowach świec dwoje. Tereska pomagała im w tej ostatniej posłudze, niepłacząc, nielamentując; ale w wielkich, ciemnych oczach miała smutku tyle, że zapłakać nad nią trzebaby było. Hanka nowym płaczem wybuchła.

Przed chatą stała gromada ludzi i radziła o sierotach, o zmarłej.

— Biedne sierotki — mówił Jędrzej staruszek — liche im tu życie będzie teraz bez matki. Stara była zabiegliwa a gospodarna, to też bieda niedała im się we znaki. Ale teraz to kto wie jak będzie? Hanka do roboty nijaka, ona na dziedziczkę patrzy, a Tereska nie da sobie rady.

— No! — przerwała mu babka kościelna — a czy to niemają chłopców — pożenią się w zapusty, ta i co im będzie złego?

— Łatwo ta gadać moja kumo — rzekł znowu Jędrzej — ale bieda do biedy, to zawsze będzie bieda. Nie taka to łatwa żeniaczka.

Chciała mu baba znowu czemś zaargumentować, ale ujrzała od wsi idących dwóch młodych i przestała.

— Ba o wilku mowa — to ich macie.

I niebawem zbliżyło się do gromadki dwóch młodych górali. Obaj podobni do siebie i twarzą i wzrostem jak to często u bliźniaków bywa: ale przecież po bliższem wpatrzeniu się widoczna była różnica. Stacha oczy latały ruchliwe, niespokojne, w ruchach była jakaś buńczuczność, odwaga, podczas, gdy młodszy Kuba więcej spokojnym się wydawał. Dziwna była historya tych dwóch bliźniaków.

Kiedy jeszcze niedorosłymi chłopcami byli, nastał jednego roku po ciężkiej zimie tak głodny przednowek, że wieś cała rozejść się za zarobkiem musiała, by niepomrzeć z głodu. Ojciec ich zostawił żonę i córkę w domu, a sam z synami poszedł na węgierską stronę na zarobek, śnieg jeszcze leżał na górach. Ojciec wśród drogi zachorzał nagle — wieś była daleko, żadnego mieszkania w pobliżu oprócz pustego szałasu, do którego dowlókł się stary. Choroba powiększała się, a młode chłopięta nie mogły dać żadnej pomocy staremu oprócz łez, któremi hojnie zlewali jego ręce. Okropna była śmierć starego, gdy sobie pomyślał o swych dzieciach, co nieświadome drogi, głodne pewnie zaginą w tych górach. Ostatek głosu zbierał jeszcze, by im mógł wytłumaczyć jaką drogą mają wrócić do domu, ale dzieci zanosząc się od płaczu niesłuchały słów ojca, jeno prosiły:

— Tatusiu, tatusiu, ty pójdziesz z nami.

Nieposzedł z nimi, bo skonał w dni parę, a głodne sieroty błąkając się w górach trafiły wreszcie do wsi i wróciły do matki z okropną nowiną. — Trudno było wśród zasp śniegowych dostać się po ciało, zwłaszcza, że dzieci nieumiały wytłumaczyć, gdzie ich ojciec skonał — aż drugiego lata znaleziono garstkę kości w szałasie i pogrzebano je niedaleko z tamtąd, i odtąd synowie co rok chodzili w góry na mogiłę ojca i znaczyli ją co rok świeżym krzyżem. — Stach juhasił latem — a zimą pomagał bratu w kołodziejstwie i tem żywili siebie i matkę, bo siostrzyczka dawno im zmarła.

Jak razem żyli tak i razem się zakochali: ale w miłości całkiem inaczej objawiały się ich usposobienia. Stach żywy, wesół, śmiały, w kochaniu był więcej chłodny, obojętny, choć miał chwile gwałtownego wybuchu; podczas, gdy Kuba spokojny i flegmatyczny, w miłości był szalony, namiętny, gorący, i tylko czarne oczy Tereski panowały nad tą dziką miłością.

Krótki ten epizod zdawał mi się niezbędnym dla dalszego rozwoju rzeczy — a teraz wracam do powieści.

Gdy już skończono ubierać umarłą — ludzie wcisnęli się do izdebki i klęknąwszy poczęli odmawiać ciche modły. Stach, Kuba zostali na dworze.

— Ta i co będzie z dziewkami po śmierci starej? — spytał Kuba.

— Co? ano żeniaczka będzie rychło z gór wrócę — rzekł Stach.

— Oj tobie się nigdy nie spieszy, a to tak daleko do zimy — rzekł Kuba i zachmurzył się.

Z chaty wyszła Hanka z zapuchłemi, czerwonemi oczyma i ocierając je przywitała w milczeniu Stacha.

— Biedna ty Hanko — mówił Stach ściskając jej rękę. I pocieszając ją szedł z nią ku drodze.

A Kuba próżno czekał na Tereskę, próżno się niecierpliwił, darł guńkę na sobie. Tereska przy trumnie matki zapomniała o miłości, o Kubie, o całym świecie.

— Oj bodaj cię za takie kochanie — mruczał Kuba — ano kocha jak ma czas, a nic do roboty.

I patrzał z zazdrością na brata i Hankę, co opodal rozmawiali z sobą i gwałtownie zaciskając zęby pytał:

Czemu Tereska niewyszła do niego?

Namiętność jak tarzańska burza wezbrała, rozigrała się w piersi młodego górala i nie spokojny, zły wpadł do izby.

W izbie Tereska objaśniała świece przy trumnie matki. Na odgłos silnych kroków obejrzała się ku drzwiom i spojrzała na Kubę tak głęboko smutnie, z takiem cichym wyrzutem, że spokój trupa zakłóca, że Kuba stanął

jak wryty, i pod siłą tego spokojnego wzroku burza wpiersiach ucichła. Klęknął i począł się modlić za starą.

Drugi dzień tak samo przeminął sierotom. Hanka na przemiany wybuchała rozpaczą, to znowu spokoiła się na czas jakiś. Tereska wciąż smutna, wciąż spokojna patrzała na matkę, odpędzała natrętne muchy z żółtej twarzy, objaśniała świece, modliła się.

Próżno Hanka namawiała ją posilić się nieco.

— Jedz, jedz siostro — ja nie mogę, mnie się nie chce.

I taką była do pogrzebu.

Trzeciego dnia zajechał Kuba małym wózkiem po ciało umarłej. Ksiądz i gromada czekały przed chatą. Hanka rozpoczęła znowu lament głośny. Rwała włosy, rzucała się na ciało matki, płakała. Boleść jej była prawdziwa, ale nic dziwnego, że taka burza boleści długo trwać niemogła. Toteż ledwie ciało matki wilgotna przykryła glina, Hanka już była spokojną, czasem tylko, jak oddalająca się burza, słychać było w piersiach dziewczyny spazmatyczne urywki płaczu i na pocieszenie poszła z ludem do karczmy na pogrzebną stypę. — Tereski zaś niemożna było oderwać od świeżej mogiły — zdawało się w posąg skamieniała. — Nieraz Kuba wychodził niecierpliwy z karczmy patrzeć czy nie idzie i z żymał się, że jej niewidać. Czuł, że Tereska dobra, bo tak starą kocha mateńkę, że jej trudno odejść od ziemi, którą stara przysypana; a przecież markotno mu było, że w tej boleści tak zapomniała o nim.

— I cóż niewidać jej?— spytała Hanka Kuby wchodzącego do karczmy.

— Nie ma — rzekł krótko Kuba i smutny siadł koło pieca.

— Czekajcie pójdę po nią, może jej uchowaj Boże co złego się stało.

Zarzuciła chustkę na głowę i pobiegła ku cmentarzowi.

Zmrok już spuszczał się na ziemię, nad Gewontem kilka gwiazd błyszczało niby lampki przed ołtarzem. W szarym mroku dojrzała Hanka klęczącą Tereskę.

— Toć przecież na mogiłkach spać nie będziesz — rzekła z wyrzutem prawie do siostry.

Tereska ocknęła się, jakby ze snu ciężkiego.

— To już tak późno — trzebaby iść. Siostro! zmówmy jeszcze jeden paciorek za matkę i prośmy ją, żeby nam błogosławiła tam z za grobu, żebyśmy niezmarniały w świecie.

Pomodliły się krótką chwilkę.

Chodźmy — rzekła spokojnym głosem Tereska i wzięła siostrę pod rękę i szły wzdłuż szumiącego Dunajca milcząc. Na skręcie drogi Hanka odezwała się do siostry:

— Trzebaby nam do karczmy, bo czekają tam na nas.

— Oj nie Haneczko, chodźmy do domu.

— Kuba czeka tam na ciebie.

— Nie, nie, niepójdę — jabym dziś nieumiała gadać ni do ludzi, ni do Kuby.

Zmarszczyła się Hanka, ale poszła z siostrą ku domowi, oglądając się co chwila ku karczmie, gdzie stało dwóch młodych braci patrząc za niemi.

— Do domu idą — rzekł Kuba ciemnemi oczyma goniąc za niemi — pewnie Tereska tak chciała — i zagryzł wargi.

— Może obie chciały — rzekł Stach — nie na rękę dziewczynom gadać z nami, kiedyby popłakać chciały.

— A czemuż Hanka była z nami?

— Czemu? rzekł Stach i zamyślił się — czemu?— ha! widać już taka ich natura, a przytem stara bardziej lubiała Tereskę — to niedziw, że się dziewucha miarkować w żalu nie może. Ale nie o tem nam teraz radzić. Kuba! co dalej będzie? bo jak mi Bóg miły to obie tak same zostać nie mogą, niedadzą sobie rady.

— To się żeńmy! — doradził Kuba.

— Teraz? nie można. Mnie wprzódy trzeba iść w góry juhasić, żeby na zimę trochę grosza uzbierać; ale jak mnie tu nie będzie to miej tu nad niemi Kuba opiekę i czuwanie. Czy w cięższej pracy pomódz, czy od krzywdy ludzkiej zasłonić — ta to teraz nasza rzecz.

(*C. d. n.*)

Korespondencya.

Z nad Dunajca 2go stycznia 1962 r.

Świeżo umieszczone artykuły w *Niewieście* „o Zbytku“, bardzo nas zajęły: tem więcej, że i my, chociaż tylokrotnie oskarżane w oczach świata, czujemy to złe, i czujemy, że reforma jak najrychlejsza jest niezbędną. Lecz dopokąd główne zródło tego złego zagubionem do dna nie będzie, to wszystkie gorące artykuły, w żywych barwach malujące „Zbytek“, nieodniosą pożądanego skutku. Głównem bowiem źródłem „zbytku“ i jego dalszych złych następstw, jest u nas to bałwochwalcze służenie modzie. Dopokąd ona będzie zamieszkiwała naszą Polskę, dopóty z niej „zbytek“ nieustąpi, i ustąpić nie może. Niewiasta każda ma w sobie z natury wiele próżności i miłości własnej, niewypieramy się tego, bo to jest grzechem ogólnym. Niejedna więc szlachcianka z prowincyi wybierająca się w większy i liczniejszy świat, której tualeta niewykwintna, ale wcale dobrze i stósownie do jej położenia zaopatrzona, że nie jest ostatniej mody, czuje się prawie nieszczęśliwą, gdy jej rozsądna mama przedstawia i niepozwala zmienić tualety, która, przed pół rokiem sprawiona, dziś już nie jest modną: bo wie dobrze, że jej niepierwszej mody sukienka będzie wcale niekorzystnie odbijać wśród eleganckiego świata, czyli ruchomych najświeższych żurnalów. Sądzimy przeto, że jad „zbytku“ niewpuścił w serca Polek tak głęboko swych korzeni, by ich jeszcze wyrwać niemożna. Otóż jedyny sposób otrząśnienia się z tego błędu, jest wyrzucenie zupełne z Polski obcych i tak zmiennych mód. Przywdziejmy kroje narodowe, włóżmy na lato kształtne gorseciki, na zimę czamarki, kontusiki, a pewnie żadna z nas niestraci na uroku, niezmieniając kroju swych sukień. Wewnętrzne usposobienie Polek różni się bardzo od niewiast innych narodów, dla czegóż i powierzchownym strojem niemamy im pokazać, że Polkami jesteśmy, i odróżnić się od nich? dlaczegóż niemamy pokazać światu, że i my mamy swój narodowy strój, a nawet tak ładny? dla czegóż niemamy na równi stać z niewiastami, które szanują strój swych prababek, nieporzucając go dla obcych powabów. Niestraciłybyśmy wcale zarzucając owe berty, wolanty, mantyle, tak kosztowne a tak zmiennej mody; nieprzesadzajmy w tem, bo miarę we wszystkiem zachować najlepiej; niezrzucajmy zaraz krynolin, które się już stały nieodzowną(?) potrzebą naszej tualety, ubierajmy się również długo jak dzisiaj, niezmieniajmy także sposobu układania włosów, tylko porzućmy kroje francuskie, a z niemi tę zmienną modę, najszerszą drogę do „zbytku“. Przywdziawszy stroje narodowe, emulacya nawet jak dzisiaj, niebędzie miała miejsca, bo biedna szlachcianeczka w skromnym gorseciku również będzie się dobrze wydawała, jak strojna w gorsecie z najkosztowniejszej materyi; niebędzie jedna dragiej raziła oczu niemodnym krojem, jedna obok drugiej niebędą przedstawiały nieprzyjemnej dysharmonii. Pan W. B. K. który tak żywo i w jasnych kolorach oddał „Zbytek“, gdyby chciał wziąść pod swe pióro tę uwagę, niezawodnie doczekałby się prędkich owoców swej pracy, i odniósł rychłe i pożądane skutki. H......

Jedna z pilniejszych czytelniczek *Niewiasty*.

OSTATNIE CHWILE ROKU 1861.

(Panorama dramatyczne).

Rzecz się dzieje na Przylądku Dobrej-Nadziei.

Jakiś mężczyzna w czarnem ubraniu chodzi po nad brzegiem morza, pomiędzy różnemi grupami ludzi.

Szczęśliwa ziemia, gdzie człowiek przynajmniej głośno w ojczystym języku swoje myśli wyjawiać może, nie będąc podsłuchanym. O tak! dziś kończy się stary rok, jadę do kraju napowrót zaszczepić nowe systema gospodarstwa—przyjąć mnie muszą z otwartemi ramiony, mnie, który im takiego marglu przywiozę, że ziemia się zażyźni jak w Egipcie, nie będzie już pszenicy, grochów i bobów, nie—tylko pomarańcze i figi. *(Drapuje płaszcz na sobie).* Założę dom zleceń, jako centrum przemysłu, którego gałęzie rozrosną się w pińskie nawet błota, podniosą gospodarstwo narodowe do takiego stopnia, że wszyscy poznawszy to jedyne źródło przyszłości, cisną resztę do diabła, *(z przyciskiem)* tak do diabła, *(na ostatnie słowa zbliża się dwóch jakichś jegomościów).*

Pierwszy z nich. A! pan Dobrodziej Polak? — toć my ziomkowie.

Zeno. (Przestraszony na stronie). Na Boga, może mój system podsłuchali. *(Głośno).* Szczególnie, cóż panowie tutaj porabiacie?

Pierwszy. Ja jestem artysta malarz.

Drugi (kłaniając się). Ja zaś artysta dramatyczny.

Pierwszy. Że się też to góra z górą nie zejdzie, a....

Zeno (po cichu). Osioł z osłem zawsze, nieprzymierzając.

Pierwszy. Wracam do kraju, niech i kraj pozna te cudowne tutaj nieba i strefy, dzikość natury, morza, skały i urwiska, bo cóż u nas? pejzaże z wiejskich chałupek, bydełka i nic więcej, a malarstwo rodzajowe to śmiech, chłopy i żydy w karczmie, i znowu żydy i chłopy, a historyczne malarstwo w kolebce jeszcze. Powracam rzeczywiście z ofiarą własnej pozycyi, z miłości jedynie dla ojczystej sztuki zagrzebać się i narażać na krytyki tych profanów i pseudo-znawców.

Drugi (ponuro). O te krytyki! cóż mnie dziś pędzi po świecie, jakby drugiego Ashawerusa — niewdzięczna, złośliwa krytyka. Grałem przez 30 lat Otella, zawsze ucharakteryzowany do niepoznania, spieniony na widok Desdemony, i cóż w nagrodę zyskałem?! Uszczypliwe słowa, żem nie dość zazdrosny, i żem się zanadto oczernił. Gdybyż się jeszcze u nas znali, ale to... *(macha pogardliwie ręką).*

Z. Więc pan nie wraca do kraju?

Drugi. Owszem, przypatrzyłem się grom w ich ojczyznie, zwiedziłem ojczyznę Szekspira, płakałem na grobie Kina i Racheli, toć może dziś więcej mnie ocenią, poświęcę tych jeszcze, lubo schorzałych kilka lat niewdzięcznej naszej scenie, lecz co widzę...

(Odsłona II).

(Morze spienione ciska bałwanami na brzeg, wszyscy ludzie zbliżają się w popłochu ku poprzednim).

Zeno. Co myślicie panowie! gdybyśmy w kraju mieli takie bałwany, ileby ziemia na tem zyskała? Każdego bałwana nie dość by można opłacić.

Art. dram. Jakto... nierozumiem...

Z. (w zapale). Tyle ma soli w sobie, a sól w ziemi, to skarby, brylanty.

Malarz. A to pan Dobrodziej agronom? lecz schrońmy się, bo burza powstaje.

(Niebo się zachmurza, pioruny biją rikoszeto — ludzie biegną w przestrachu).

Odsłona III.

Art. dram. Uciekajmy, bo to nie żarty...

Z. A to co? jakieś wołanie po polsku·

(Wszyscy słuchają, słychać:)

Wszelki duch Pana Boga chwali!

Z. (zdziwiony). Znowu Polacy, — zbliżmy się.

(Zbliżają się do grupy, w której stoi 4ch mężczyzn i trzy kobiety).

Odsłona IV.

Malarz. Słyszeliśmy tu polskie słowa, czyżby...

(Dwie z pań mdleją, drugie dwie wołają ratunku, mężczyźni wszyscy okalają je z troskliwością).

Odsłona V.

Jedna z pań (budząc się). Czy to być może... słyszałam polską mowę.

Zeno. A juści pani Dobrodziejko, bośmy Polacy...

Taż sama. I cóż panów tu zagnało — rozpacz?

Z. Mnie ciekawość poznania obcych krajów

Art. dram. Mnie rozpacz.

Malarz. Mnie studia

Z. A panią Dobr. co tu sprowadziło?

Dama (podnosząc się). Wrażenia.

Wszyscy mężczyźni. Jakto?

Dama. Tak jest, od dzieciństwa nosiłam w piersi niepokój, pędzący mnie na inne drogi niż zwykłych ludzi, inaczej zawsze myślałam i marzyłam; — co inny zaledwie spostrzegł, to mnie rozrzewniło, z czego się inny uśmiechnął, jam sobie tem serce zakrwawiła; widziałam gwiazdy i kwiaty tam, gdzie inni urny wspomnień deptali nogami, widziałam tęczę różnobarwnych anielskich sfer, tam gdzie inni tylko fenomen odróżniali, widziałam, czułam, słowem *mówiąc krótko...* pisałam.....

Jeden z grupy. Poezye zapewne Mostera Dobrodziejko!

Dama. Tak jest... improwizowałam także.... lecz gdy u nas, jak panowie wiecie, tak mało wrażeń, z którychby się potem sznury pereł uprząść dały, puściłam się w świat z ciotecznąa moją, tu obecną literatką.

Jeden z grupy (przybliżając się). Literatką? jakież szczęście, to i ja nie inny.

(Następują przedstawienia, bałwany piętrzą się coraz bardziej).

Wszyscy. Schrońmy się pod baldachim! *(Odchodzą).*

Odsłona VI.

(Scena przedstawia zachmurzone niebo, z jednej strony skały i rzadkie na nich drzewka, z drugiej nic, u stóp morze, wszyscy siedzą pod baldachimem z liścia palmowego, wszyscy z kielichami w ręku).

Poetka (improwizuje).

W niebotycznych stref przystani
Pod gwiaździstych niebo opoką,
Ból już nie tak serca rani,
Zefir wieje, nie *sirocco*,
Płacz już rzucić trzeba w dal,
Przykre myśli cisnąć wstecz,
Niedopuszczać piekła fal,
W rękę chwycić ostry miecz!
Nowy rok, to dla nas zorza,
Przedświt, iskra, huk i błysk,
Od morza poleci do morza
Gienialności świeży trysk!

(Wszyscy podnoszą kielichy napełnione hipokreną do góry, krzycząc wiwat).

Jeden z mężczyzn. Jestem z Polesia, ale szczęśliwy jestem, żem na przylądku Dobrej Nadziei tak zaszczytne znalazł towarzystwo. Nudziłem się w domu, bo mając pieniądze, cóż z niemi robić?...

Drugi mężczyzna (wyskakuje). Prenumerować pisma, nie dla tego to mówię że jestem redaktorem, lecz pomyśl pan sam tylko, jaką przyjemność mieć można z pisma, w którem pan wszystko znajdziesz, czego tylko zapragniesz, powieści krótkie a zajmujące, poezye, krytyki, recenzye, dramata, gieografię, historyę, statystykę, estetykę ścisłą, filozofię, nawet katechetyczne przepisy, a wszystko tak leciutko skreślone, tak przystępnie i namacalnie dotknięte, że gdyby panu wszystkich klepek nawet brakowało, to i tak pan zrozumiesz, a nadewszystko się rozerwiesz.

Inny z grupy. Rozrywka nadewszystko, bardzo słusznie, wiem ja to najlepiej, bo nie darmo puściłem dwa miliony, jeżdżąc po całym świecie z nudów. Lecz na cóż mi się to przydało, dziś goły wracać muszę do kraju, gdzie zmarnieć trzeba wraz z memi 9cioma . . . . . .

Art. dram. Panie hrabio, ja najlepiej rozumiem pańskie zdanie, bo w moim zawodzie jest stawiać się w obce położenie, to też, gdybym teraz był na scenie, płakalibyście państwo z zachwycenia, takbym wam zagrał jakibądź charakter.

Literat. Strzeż się pan przesady, panie Dobrodzieju, bo nic zgubniejszego jak niepotrzebne pathos i maniera.

Art. dr. (żegnając się). Wszelki duch... co słyszę, i tu już krytyka?

Hrabia (klepiąc po ramieniu artystę). Nie martw się kochanie, *(mówi mu ciszej do ucha)*, krytyka ma już swój utarty gościniec, więc jeździ po nim, ot tak byle jeździć.

Poetka (wstaje). A teraz panowie i panie, wszak popłyniemy pod jednym pawilonem napowrót do kraju, każdy ze skarbami, które nagromadził w starym roku na to, aby je w nowym z pożytkiem ogółu sprocentować, czy tak?

Wszyscy. Tak.

Poetka. Powiedzmy sobie więc jeszcze tutaj *le dernier mot*, co każdy obiecuje, począwszy odemnie, ja wiozę poema „Indye w pieśniach“

Zeno. Ja figi.

Hrabia. Moje doświadczenie i . . . . . .

Redaktor. Znakomitych współpracowników.

Literatka. Opis malowniczej podróży.

Art dram. Większą tragiczność w piersiach.

Obywatel z Polesia. Miłe wspomnienia.

Malarz. Widoki

(Jeden z towarzystwa wnosi toast na cześć pełnego nadziei Nowego roku — niebo się wypogadza, morze się uspakaja, widać na nim płynący okręt z szeroko rozwieszoną flagą).

Odsłona VII i ostatnia.

(Mężczyźni prowadzą damy na okręt, pomagają im wsiąść, strzały armatnie dają salwę odjazdu — okręt płynie powoli).

Zasłona spada.

K. J. Turowski. Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk. Antoni Rother.